OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 15 (27) Lutego 1867 roku.

Nr 9. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

Kuszenie Chrystusa przez djabła.

Chrystus ochrzczony w Jordanie przez Ś-go Jana, udał się na puszczę na rozmyślanie i modlitwę w odosobnieniu od świata i skupieniu ducha, jak to przed nim i po nim czynili ludzie natchnieni od Boga, dla przepowiadania potem narodom przyszłych rzeczy.



Kusiciel.

Ludzie święci, ludzie wybrani od Pana, prorocy, jak Swięty Jan i inni, zupełnie porzucali dom, rodzinę, wszystko cokolwiek ich tu przyciąga za serce, co zdaje się być przeszkodą do oddania tego serca Najwyższemu, a szli precz w świat najdaléj od ludzi, pomiędzy piaski i skały, pomiędzy góry, doliny i dzikie zwierzęta, aby tam trawiąc czas na rozmyślaniu i modlitwie, na umartwieniu i ostréj pokucie, stać się kiedyś mogli godnymi zająć miejsce w gronie wyznawców Pańskich w Niebiosach.

Mojżesz nim wyprowadził lud swój z Egiptu, najwięcéj przebywał na puszczy i tam to właśnie usłyszał głos Boga w krzaku gorejącym.

Izraelici nim otrzymali przykazania z góry Sinai, nim weszli do obiecanéj ziemi, także przebywali na puszczy, marli na niéj, ginęli, a sposobili się do odziedziczenia przyobiecanego im szczęścia, do odegrania ważnej w dziejach świata roli.

Chrystus daleko większe miał przed sobą zadanie. Miał pogodzić ziemię z Niebem, odrodzić i uświęcić człowieka, otworzyć mu zamknięte wrota raju, poprowadzić i dopełnić Stary Testament i stare pojęcia; a za to, wiedział, że Go czeka zniewaga, haniebny krzyż, śmierć! więc Jemu więcej aniżeli komu innemu przystało przed wystąpieniem publicznem z swą nauką, szukać samotności i odosobnienia puszczy. Jemu konieczne widać było takie przygotowanie się, takie rozmyślanie połączone z czterdziestodniowym postem, aby i nam przez to pokazać, że w każdéj ważnéj sprawie mamy Go według sił również naśladować, również jego ścieszkami chodzić.

Minęło nareszcie czterdzieści dni. Przyszły Męczenik Golgoty opuszcza głuchą pustynię, wychodzi

i chce już raz rozpocząć dzieło odrodzenia, dzieło pełne Boskości i cudów, bo godzina Jego niedaleka; ale jak się to prawie każdemu z ludzi trafia i Jemu szatan wchodzi w drogę.

Zadziwi to może nie jednego zkąd djabeł odważył się kusić Jezusa, wiedząc, że On jest Bogiem i Panem jego.

Na to Ojcowie kościoła tak odpowiadają: Czart wie tylko o tém wszystkiem co się ściąga i odnosi do rzeczy i spraw naturalnych. Co się zaś tyczy spraw nadnaturalnych, nadprzyrodzonych—bez wyraźnej woli Boskiej nic o tém nie wie. Ponieważ zaś Chrystus był osobą nadnaturalną, bo Boską—djabeł więc sam przez się o Jego Boskości nic wiedzić nie mógł, ale chciał Go przynajmniej wybadać czy tak jest w istocie. Chciał się przekonać czy to dziecię z Betleemskiej szopy, czy ten syn cieśli z Nazaret, jest prawdziwym, jak ludzie szeptali, Messyaszem, przepowiedzianym przez Patryarchów i Proroków, oczekiwanym przez wszystkie narody. Wiele mu na tém zależało, więc tak się wziął do dzieła.

Stanął przed Chrystusem i rzekł:

— Jeśliś jest synem Boga, przemień tén kamień w chleb.

Chrystus, choć czterdzieści dni nic nie jadł ani pił, widząc przed sobą szatańską obłudę, rzekł z wielką godnością:

— Napisano jest: nie samym chlebem człowiek żyć będzie, ale każdem słowem pochodzącem z ust Bożych.

Tedy wziął go djabeł do miasta świętego Jeruzalem i postawił go na najwyższym ganku kościelnym i rzekł mu:

— Jeśliś jest syn Boży, spuść się sam na dół, albowiem napisano: iż aniołowie będą cię na rękach nosili, abyś snać o kamień nie obraził nogi swojej.

Rzekł mu Jezus:

— Ale napisano także: Nie będziesz kusił Pana Boga twego.

Zmiarkował szatan, iż ma do czynienia z niezwykłą jakąś istotą, ale postanowił jeszcze nie odstąpić od swego i zbadać rzecz aż do gruntu; wziął więc Chrystusa, zaniósł i postawił Go na najwyszej górze, pokazał Mu najpiękniejsze okolice, zachwycające zielenią i kwiatami doliny i wyniosłości, roztoczył przed Jego okiem wspaniałe krajobrazy, na jakie ręka wprawnego mistrza zaledwie zdobyćby się mogła, liczne państwa i królestwa, mnóstwo miast i wiosek, a potem tak się odezwał:

— Jeśli mi się pokłonisz, to wszystko co tu widzisz oddam tobie.

Chrystus odpowiedział:

— Napisano jest: iż samemu Bogu twemu kłaniać się i Jemu samemu służyć będziesz.

Teraz już poznał djabeł, że mówił z prawdziwym Messyaszem, ze swoim wrogiem, który przyszedł na to aby mu łeb skruszyć, aby panowaniu jego położyć kres i stargać kajdany piekieł;—więc zgrzytając a wyjąc ze złości i upokorzenia, opuścił Go i uciekł zawstydzony—a anieli pańscy, przy śpiewie i majestacie niebiańskim zstąpili na szczyt góry chwaląc Boga i służąc wiernie wsystkim rozkazom i skinieniom Chrystusa, który od tej chwili wystąpił czynnie na widownię działań i jawnie już rozpoczął głosić swoję reformę przekonań i wiary, swoje posłannictwo Boskie.

Pierwsze po wyjściu z puszczy zwycięztwo nad szatanem, było niejako zapowiedzią, że i dalsze przeszkody potrafi z równąż łatwością odeprzeć, unicestwić, i że na gruzach Adamowego grzechu, Bóg-Człowiek, Syn niepokalanej Dziewicy, wkrótce zatknie zwycięztwa sztandar, nad którym przez cztery tysiące lat znęcało się z całą zajadłością piekło.

Kuszenie Chrystusa przez djabła, powinno być dla nas nauką, że wszędzie i zawsze a szczególniéj przed rozpoczęciem jakiejś ważnej sprawy, mamy być ostróżni i baczni, aby żadne pokusy, żadne ułudy nie oddziaływały na nas. Czyn zbawienny, szlachetny, dobry, który masz wypełnić, spełń go aż do końca. Nie daj się zwodzić ani nieszczerym pochebstwom, ani groźbom i strachom nikczemnym, ani proźbom, ani ofiarom złota i dostatków; nie słuchaj szatana pychy i łakomstwa, zawstydź go swą uczciwością, swą cnotą, bądź na wszelkie pokuszenia złego nieugiętym jak skała, twardym jak hartowana stal, rób co ci Bóg i sumienie każe, a pewno zwyciężysz niecne podszepty i godnie wstąpisz w ślady Boskiego Mistrza—Chrystusa.

Franciszek Gumowski.

IMIENINY.

Gdy dzieckiem rosła w pieszczocie,
W dzień jéj imienin — tak hojnie
Miewała ciastka, łakocie
I lalki przybrane strojnie.

I kiedy już na panienkę,
Z małej wyrosła dzieweczki,
W dniu tym — i nową sukienkę
I nowe miała książeczki.

W szesnastym roku — rodzice
Balik wydali tańczący—
I uszczęśliwił dziewicę
Z rąk jego, bukiet kwitnący.

I przez lat kilka — corocznie
Dzień ten witany uśmiechem
Przechodził wesoło, skocznie,
I wspomnień znaczył się echem.

Do zamążpójścia — bywało
Dzień ten był pełen radości—
Bo się sąsiedstwo zjeżdżało,
Z rodziną — najmilszą z gości.

I póki rodzice żyli,
Czekała ich z tem zajęciem
Jak niegdyś, kiedyś w tej chwili,
Gdy jeszcze była dziecięciem.

Kiedy już dziatwa podrosła,
Budząc jej własne wspomnienia,
Jeszcze do łóżka jéj niosła,
Wiązania swe i życzenia.

Potem od drobnych wnuczątek,
Z bijącem sercem czekała
Tych samych życzeń, pamiątek,
Jakie od dzieci miewała,

A w grubej wdowiej żałobie,
Tłumiła smutek milczący—
I w dniu tym wspomniała sobie,
Ów pierwszy bukiet kwitnący.....

Dziś kości jej w ziemi czarnej,
Dusza w wieczności progu—
Lecz w dniu tym, — przy mszy ofiarnej,
Kapłan poleca ją Bogu.

I grono wnucząt i dzieci,
Mogiłę łzami uświęci,
I krzyż wieńcami ukwieci
W hołdzie pozgonnej pamięci.

Jan Prusinowski.

DZIWNI LUDZIE,

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8).

III.

Grajek.

Z chwilą kiedy po raz pierwszy spostrzegł ciało nieznanego człowieka, biedny grajek nie opuścił go wcale. Patrzył obłąkanym wzrokiem na jego oblicze, oglądał i okrywał jego rany, przemawiał doń dziwnemi dźwiękami z żadnego nie branemi języka, całował posztywniałe ręce.

Gdy ostatecznie już się przekonano że nieznajomy nieżyje, biedny idjota rzucił się na jego ciało i płakał rzewnie, długo a serdecznie.

Jan Biały był sierotą wioski. Natura odebrała mu dar najszlachetniejszy—rozum, lecz pozostawiła serce, które wszystkich jak potrafiło kochało; to też los jego budził współczucie w sercach prostych wioski mieszkańców i nie jeden z nich szczerze zapłakał nad jego nieświadomem siebie istnieniem, nad smutną dolą na jaką był skazany; każdy z nim chętnie dzielił się kęsem chleba, słuchał jego bezładnych gadanin i piosnek, uśmiechał się na dźwięk dziwnej muzyki, której idjota nie przejął od zwykłych grajków wiejskich, lecz którą stworzył sobie sam: nieuczoną, bezładną, rażącą nieraz ucho dziką niezgodnością dźwięków, lecz czasem umiejącą serce rozedrzećlub łzę z oka wycisnąć dźwiękiem kilku rozpacznych tonów przypadkiem pewnie wydobytych z niekształtnego pudełka, które Jan Biały z dumą swemi skrzypkami nazywał.

Znając najdoskonalej dziwne i niczem niekrępowane postępowania grajka, nikt prawie nie zwracał uwagi na to jego serdeczne zajęcia się śmiertelnemi szczątkami człowieka, którego śmierci on sam mimowiedną był przyczyną, na te pieszczoty jakiemi okrywał zlodowaciałe, czarne ciało zmarłego i na tę tajemniczą rozmowę, jaką z nim prowadził w swym dla nikogo nieraz niepojętym języku...

Życie mieszkańców wioski na chwilę wylewem tylu rozlicznych uczuć i wypadków, wyprowadzone ze spokojnego i równego łożyska jakiem płynęło zazwyczaj, powoli w zwykłe brzegi powracać zaczęło.

Pożar spaliwszy co było do spalenia skończył się szybko, a deszcz rzęsisty spadły wkrótce, poprzygaszał niedotlone głownie.

Noc dobiegła końca, czarna, ponura i nazajutrz już tylko zjazd sądu mającego wyśledzić przyczynę pożaru i wykryć kim była ofiara, odrywał chwilowo mieszkańców od zwykłych zatrudnień codziennych.

Poszukiwania sądowe nie mogły zrazu wykryć przyczyny nieszczęścia wypadłego pod nieobecność właściciela wioski we dworze, w którym mieszkała tylko stara gospodyni cudem niemal ocalona od niechybnej śmierci, i w którym jeszcze z woli zmarłej matki dzisiejszego posiadacza tych dóbr, Jan Biały miał posiłek i kąt ciepły w zimie.

Badania wszystkich mieszkańców wioski nie mogły doprowadzić do niczego i już miano zamknąć śledztwo formułą: „przyczyna pożaru dotychczas niewiadoma, równie jak osoba ofiary,” gdy jednemu z urzędników przyszła myśl przesłuchać grajka, na którego dotąd jako na pozbawionego rozumu, żadnéj nie zwracano uwagi.

Jan Biały swoim obyczajem bez związku odpowiadał na czynione mu pytania i dopiero kiedy zobaczył, że stósownie do wymagań prawa zabierać się zaczęto do sekcji ciała zmarłego, zastawił sobą śmiertelne szczątki wołając, że ich tknąć nie da i zapłakał tak żałośnie, że serce widzów tej smutnej sceny, z żywszem dla niego jeszcze bić poczęły współczuciem.

Łzy jakby promykiem światła rozjaśniały jego słaby umysł. Połykając je, zaczął w dziwny sposób opowiadać jakąś długą historją na którą zaraz zwrócono uwagę, poplątane bowiem jej szczegóły, zdawały się mieć jakiś związek z wypadkiem dnia poprzedniego.

W miarę opowiadania, którego dla dziwnej barwy języka obłąkanego powtórzyć lub odtworzyć prawie niepodobna, mowa jego zaczęła nabierać jakiegoś związku i jasności.

O ile z tej rozwlekłej gadaniny idjoty wyrozumować było można, Jan Biały sam był sprawcą pożaru.

Niepostrzeżony przez nikogo podczas kiedy gospodyni spała, poszedł on ze światłem pod strych gdzie znajdowało się dosyć słomy i innych łatwo zapalnych przedmiotów. Tam w biednej jego głowie powstała myśl dziecięca bawienia się zapalaniem słomek. Z początku zajmował go widok płomieni szybko obejmujących poddawane przedmioty i snujących wężykiem po poddaszu. Późniéj gdy ogień zbyt wzmagać zaczął i woli jego nie chciał ulegać, idjota przestraszył się, zbiegł z góry, chciał ostrzedz ludzi, ale nie spotkał nikogo, a od krzyku słowa zamierały mu w piersi

Nie mówiąc zatem nic nikomu, niezdając sobie sprawy ani z tego co zrobił, ani z niebezpieczeństwa jakie zagrażało, pobiegł do niedalekiego gaju.

Ztamtąd znów spojrzał na płomienie zaczynające obejmować gontowy dach domu.

Dla biednego idjoty oddalone niebezpieczeństwo, nie było już niebezpieczeństwem.

Zwykłym obłąkanym umysłem nagłym przewrotem, przestrach jego ustąpił przed zajęciem, jaki wzbudził widok majestatycznych płomieni po raz pierwszy w życiu przedstawiający się jego oczom.

Ze zwinnością wiewiórki wdrapał się idjota na drzewo i patrzył chciwie na nieznane widowisko.

Płomienie szalały coraz wściekléj, on śmiał się i klaskał w ręce.

Późniéj gdy ujrzał lud zbiegający się do koła, gdy dobiegło doń echo krzyków przerażenia, uczuł dziwne jakieś wrażenie, które go dreszczem przejęło.

Wówczas zlazł z drzewa i smutny poszedł ku po-

żarowi—a kiedy zobaczył bezwładne, opalone ciało nieznajomego, myśl o pożarze ustąpiła przed nowem wrażeniem.

Płakał nad zwłokami człowieka którego nieznał, i zdał się boleć nad nieszczęściem, którego był bezwiednym sprawcą, a którego ogromu pojąć nie mógł.

Opowiadając urzędnikom sądowym te wypadki, o ile mu je słaba pamięć przypomnieć mogła, plącząc szczegóły w najdziwniejszy sposób, biedny kaleka z prostotą i szczerością wyspowiadał się ze wszystkiego co zrobił, odmalował oryginalnemi barwami swoje myśli i wrażenia.

— Było to piękne — mówił kończąc, — och! jakie piękne!... ale tak straszne... tak straszne!...

I drżał na myśl nasuwającego mu się wspomnienia

Wyśledzono w ten sposób prawdziwą przyczynę pożaru. Sprawcą jego była istota nad którą sprawiedliwość nie miała żadnej siły, istota nieodpowiedzialna za swe czyny.

Badania co do osoby nieznajomego, do niczego za to nie doszły.

W karczmie w której zatrzymał się podróżny, nie wiedziano nic o nim. W bryczce którą przyjechał, nie znaleziono żadnego śladu mogącego zaprowadzić na trop dalszego badania, a w popalonej jego odzieży, również niczego doszukać się nie było można.

Człowiek z którym przyjechał, był wynajęty w Staszowie, gdzie także nic o przybyłym niewiedziano.

Wieść o wypadku wielu ludzi z okolicy ściągnęła na miejsce pożaru, nikt jednak nie rozpoznał nieszczęśliwego, którego rysy zresztą zmieniły się do niepoznania.

Opowiadanie całej tej przygody, przyozdobione dodatkami prowincjonalnej wyobraźni, daleko w okół obiegło okolicę.

Słuchając téj powieści o czynie wielkiej duszy, jedni uśmiechali się z powątpiewaniem niedowierzając całej historji, którą brali za wymysł parafialnych gawędziarzy, inni z uniesieniem odzywali się o nieznajomym, nazywając go świętym człowiekiem „zacną duszą,” lecz największa liczba wzruszała ramionami, mówiąc obojętnie:

— Poświęcać się za warjata... Dziwny człowiek!...

Z wszystkich tych pogadanek nie wypłynęło jednakże nic, coby mogło posłużyć za jakąkolwiek wskazówkę do wykrycia osoby tego człowieka, który był rzeczywiście dziwnym, gdyż nie codzień tak gotowych do poświęceń ludzi na świecie napotykać się zdarza.

Musiano zatem dalsze śledzenia pozostawić losowi i po złożeniu ciała na cmentarzu parafialnym, w obec licznego tłumu mieszkańców wszystkich okolicznych wiosek, po zrobieniu ogłoszeń w dziennikach urzędowych, powoli cichnąć poczęły rozmowy o strasznym wypadku, o nierozważnem poświęceniu i jego skutkach okropnych, a wkrótce w wirze powszednich zajęć, utonęła pamięć o podróżnym.

Obraz jego pozostał tylko w pamięci grajka, który długie godziny codzień przesiadywał na cmentarzu na jego grobie.

Pozostał po nim jeszcze jego skarb w zwaliskach dworu, ukryty w miejscu do którego w istocie pożar się nie dostał, lecz o tym skarbie nie wiedział nikt.

Mimo wiednym strażnikiem tej tak cudownie ocalonéj spuścizny, był także biedny kaleka.

Od dnia pożaru a bardziej jeszcze od dnia pogrzebu nieznajomego, zwaliska dworu, kilkoma kominami i kupą rozwalisk sterczące, stały się ulubionem dla niego miejscem. Bezcelowe swoje wędrówki, które dawniej miał zwyczaj kierować daleko po za wioską, zastąpił teraz przechadzkami z cmentarza do spalonego dworu i na powrót. Włóczył się często do koła czarnych zgliszczy, a nieraz wciskał się między gruzy i zagrzebywał wpośród nich przykładając uszy do opalonych cegieł, jakby mu one szeptały jakieś ciekawe a okropne o doznanej klęsce powieści.

A gdy czas jakiś przebył między zwaliskami, kiedy czarne pręgi sadzy pokryły fantastycznie jego białą sukmanę, szedł na mogiłki do swego przyjaciela, klękał tam czasem albo siadał, płakał, śmiał się, lub padłszy na grób zimny, obejmował go rękami, gwarzył do niego i zasypiał na nim.

IV.

Ojciec i Syn.

Wioska, w której wypadki opisane w poprzednich rozdziałach miały miejsce, nazywała się Suchą Wolą i na dziesięć lat może przed sceną która naszę powieść rozpoczęła, nabytą została przez ojca dzisiejszego właściciela.

Był to już wówczas człowiek poważny, z włosem dobrze przypruszonym siwizną. Na twarzy jego przebijało się pewne znużenie walką życia, w czynach malowała się dobroć, która pozorną jego sprężystość nieraz w zbytnie zamieniała pobłażanie.

W pośród obywatelstwa okolicznego, nowy właściciel Suchéj Woli zyskał także opinją *dziwnego* człowieka. Cała jego oryginalność, całe dziwactwo zależało podobno na tem tylko, że najskrupulatniej nic oprócz wody nie pijał, o polowaniu wiedział tylko ze słyszenia, a o kartach miał takie wyobrażenie, że zdawało mu się iż siódemka znaczyć musi siedm razy tyle co as.

Z tych już szczegółów wnieśćby można, że ojciec dzisiejszego właściciela Suchej Woli, nie urodził się wcale dziedzicem posiadłości ziemskiej i tak też było rzeczywiście.

Nabywca sandomierskiej wioski, którego nazwisko zamilczeć będziem musieli, lecz którego nazwiemy Szerepą, pędził życie bardzo rozmaite, w którem pomyślność i byt dobry z niedolą i boleścią jak kwadry księżycowe się zmieniały. W kraju, zagranicą, w wielkich miastach i małych wioskach, w dostatku i ubóstwie, czepiając się najrozliczniejszych zawodów, przeżył pan Szerepa lat czterdzieści kilka i naówczas dopiero doszedł do tego, że mu się pomyślniejsza gwiazda stalej uśmiechnęła, że starczyło na zakupienie wioski, że trafił na dobre lata, że mu się w gospodarstwie wieść poczęło i że wreszcie mógł być pewnym spokojnego kawałka chleba na starość i przyszłość jedynaka...

Tak... bo ojcowie zwykle mówią sobie:

— Mogę nie drżéć o przyszłość moich dzieci... mam majątek....

I żyją dłużej, albo krócej, a potem umierają spokojnie, zostawiając poczciwą pracą nagromadzone mienie potomstwu jako tarczę przeciw wszelkiemu złemu, co im na świecie zagrażaćby mogło.

A tymczasem... o Boże!.. cóż się to czasem dzieje i z wianem i z dziećmi!..

Po sześciu ledwie latach gospodarowania w Suchéj Woli, pan Szerepa umarł nagle.

Jedynak miał podowczas lat ośmnaście.

Był to młody, przystojny chłopiec, którego charakteru: pobłażanie i miłość ojcowska, na męzki i energiczny wyrobić nie mogły. Mając zostawioną przez rodziców nieograniczoną wolność, nie mówimy już że w wykształceniu się znaczne rozmyślnie pozostawiał szczerby—boć wychowanie do bardzo szczupłej dozy elementarnych wiadomości ograniczone, to u bardzo wielu naszych synów obywatelskich nie nowina—ale nadto rozwinął w sobie wrodzoną, może w części słabą wolę i łatwość ulegania obcym wpływom...

Dla ludzi mających tego rodzaju układ moralny, życie staje się zwykle bardzo śliską ścieżką...

W trzy lata po śmierci ojca, a w trzy miesiące ledwie po dojściu pełnoletności syna, odumarła go matka która ani by była mogła, ani by umiała, ani wiedziała nawet, że potrzeba było zahartować w ogniu męzkości duszę jedynego dziecięcia. Umierając i ona także rozstawała się ze swym synem jedynakiem na zawsze z tą błogą i rozkoszną myślą, że mu zostawia wszystko, czego do pomyślnej podróży gościńcem życia potrzeba.

Pan Michał Szerepa był pełnoletnim, objął zatem osobiście rządy pozostałego po rodzicach majątku, wcale skromnego w porównaniu do innych fortun, lecz mogącego wystarczyć na życie.

Pierwszym aktem jego wszechwładzy, był naturalnie wyjazd do Warszawy na zimę.

Wyjeżdżając do stolicy, pan Michał nie układał jeszcze tych planów zabawienia się, użycia wszelkiej przyjemności jakiej za pieniądze nabyć można, pokazania się panem, zakosztowania powabów hulackiego życia, tych planów birbantki i rozpusty, z jakiemi zwykle dorwawszy się trochy grosza młodzi puszczeni samopas, zostawieni samym sobie i otrzaskani już z życiem miejskiem panicze, wybierają się nietylko do Warszawy, lecz na każdy nawet walniejszy jarmark do Łowicza, do Łęczny lub do Skaryszewa.

Gdyby istota moralna człowieka podlegała opłacie konsumcyjnej, pan Michał mógłby śmiało zadeklarować na rogatkach duszę jeszcze niczem nie zbrudzoną, serce złemi żądzami nie spleśniałe, umysł niedość pielęgnowany, a więc w bujne i owoc wydać mogące drzewo nierozrosły, lecz mimo swego karłowatego rozwoju, zdrów i niespruchniały wewnętrznie.

Ponieważ o zaprowadzeniu rewizji tych przyborów wewnętrznych, pomiędzy którémi najczęściej najzgubniejsza kontrabanda zepsucia się znajduje, nikt dotychczas nie pomyślał, przeto rewizorowie rogatkowi widzieli tylko: ciężkie niedźwiedzie futro, czapkę z barankiem i zarumienioną od zimna, zdrową twarz młodego Sandomierskiego dziedzica, a jeśli ich biegłość w rozpoznawaniu ludzi z fizjognomji nie ograniczała się tylko do defraudantów, to dostrzedz także byli powinni żywą ciekawość i zajęcie, jakie się malowało w oczach młodzieńca po raz pierwszy wjeżdżającego do wielkiego miasta.

Warszawa i tą razą zrobiła swoje—oczarowała, olśniła prowincjonalistę.

Dla pana Michała piękne nasze miasto było tymbardziej nowem, że nietylko przybywał do Warszawy po raz pierwszy, ale nadto nie miał w niej nikogo znajomego, coby mu mógł służyć za przewodnika w wielkim grodzie.

Ojciec jego w rozmaitych kolejach życia jakie przechodził, z wieloma wprawdzie ludźmi miewał stosunki i z niejednym próbował łączyć się przyjaźnią, która z jego strony była najszczerszą i najżyczliwszą, lecz równej sobie i godnej siebie nie napotykała nigdy. Podczas gdy szczęście uśmiechało mu się chwilowo, przyjaźń ludzi których spotykał gotową się być zdawała na wszelkie próby, lecz gdy los namarszczył oblicze, gdy tę gotowość skazał na próbę złej doli co się w życiu pana Szerepy często zdarzało, uginała się ona i łamała pod ciężarem doświadczenia... Takie zawody uczyniły ojca pana Michała nieufnym i choć pod koniec życia stalsza świeciła mu gwiazda, nie łączył się przecież z nikim bliższemi węzły, nie chciał mieć z nikim wspólnych celów i przekonań, żył odosobniony od ludzi, którzy go mieli za dziwaka i niemając takich jak inni nałogów i usposobień, nie miał przyjaciół, ani takich jakich... pożal się Boże... codzień mieć można, ani żadnych.

Ztąd syn osierocony na wstępie w życiu pozostał podwójnie samotny i wszystkie związki z ludźmi musiał sam zawiązywać.

Przy jego charakterze było to nowem niebezpieczeństwem, nowym szkopułem, o który rozbić się mogło łatwo życie całe.

W losach ludzi tego co pan Michał usposobienia, pierwszy przyjaciel nadzwyczaj ważną zwykł odgrywać rolę. Pierwszy stosunek zażyłości popycha ich dopiero na jedną z dróg, któremi ludzie chodzić zwykli, a któréj słaba wola i niedoświadczenie wytknąć sobie lub wybrać im niepozwala.

Czy ta droga ma być dobrą czy złą, zależy to od przyjaciela.

W różny sposób zawiązuje się przyjaźń, najczęściej jest ona prostym wypływem, zdrowym lub chorobliwym owocem stosunków z ludźmi i warunków w jakich żyjemy, czasem powstaje z naturalnego dwóch usposobień podobnych albo sprzecznych pociągu, niekiedy jest dziełem przypadku.

W tem ostatniem właśnie położeniu był pan Michał. Pozbawionemu wszelkich bliższych stosunków, w pierwszy raz widzianem mieście, przypadek miał nastręczyć ludzi, w których kole najpiękniejsze i najważniejsze dni jego życia płynąć miały, w których gronie miał ziarna swojej przyszłości zasiewać.

Trzeba wyznać, że przypadek z tego obowiązku wprowadzenia w świat młodego Sandomierskiego dziedzica, wcale melodramatycznie się wywiązał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Napad Jaguara na stado dzikich koni.

(Wspomnienie z podróży po Azji).

Chęć do czynienia coraz to nowych odkryć, a ztąd i wzbogacania skarbnicy swéj wiedzy coraz to nowemi wiadomościami, oddawna już poruszała umysły Europejczyków, do przedsiębrania śmiałych, bo na niebezpieczeństwo nawet życia nieraz narażających podróży i wędrówek po nieznanych krajach.

Podróże jednak dawniej odbywano bardzo rzadko; naturaliści żyjąc w obrębie swych tylko rodzinnych krajów, uczyli się z samych dzieł wyłącznie, a nie z żywej przyrody; i nic w tem dziwnego, gdyż wyprawa w niedalekie nawet strony, pociągała za sobą dawniej znaczne koszta i była nader niebezpieczną.

Słabe też tylko wiadomości przywozili nam missjonarze, wysełani przez duchowieństwo dla nauczania bałwochwalczych i ciemnych i ludów pierwszych zasad prawdziwej religji, oraz handlujący, którzy dla własnych materjalnych korzyści, liczne z różnemi odległemi krajami zawiązywali stosunki.

Od czasu jednakże, gdy środki kommunikacyjne ułatwione zostały, gdy dobroczynne światło cywilizacji rozlało swe ożywcze promienie na mieszkańców Południowej i Wschodniej części świata, liczni podróżnicy rozbiegać się wtedy zaczęli w rozmaite strony naszej starej ziemi.

„Nauka (mówi Dr. Brehm) jest wiecznie nienasyconą”. Z namiętną też rzeczywiście ciekawością, stara się ona przeniknąć najgłębsze tajniki przyrody i poznać wszystko, co tylko pod zmysły i wyobrażenie podpada.

Powołuje ona kapłanów, których zapalając miłością prawdy, czyni przez to zdolnymi do największych poświęceń. Ludzie ci nie szczędzą niczego, nic ich nie wstrzymuje; owszem, z podziwienia godną stałością narażając własne zdrowie i życie, starają się przezwyciężyć tysiące przeszkód aby tylko na ołtarzu nauki złożyć choć jedną ofiarę.

Łatwość więc kommunikacji w połączeniu z chęcią odkryć nauki, a choćby tylko zwiedzanie dalekich i nieznanych krain, są głównym powodem do tego, że podróże stały się prawie dzisiaj konieczną potrzebą i jedyną namiętnością, szczególniej młodych naturalistów, a owe liczne niebezpieczeństwa i nieprzezwyciężone często przeszkody, zamiast ostudzać zapał, owszem powiększają go tylko. Niezrażeni niczem odważni podróżnicy, chętnie też przywożą lub nadsyłają rodakom opisy swych ciekawych, pouczających, lecz i z trudami połączonych wycieczek, lub wreszcie, dzielą się wrażeniami, nabytemi nieraz z rozdzierających serce widoków.

Jednym właśnie z takich smutnych obrazów, był dla mnie widok, jaki mi się nasunął w ostatniej z moich naukowych wycieczek po Azji i który zamierzam wam poniżej choć w krótkości opisać.

Azja, owa kolebka rodu ludzkiego, zawsze wabiła mnie niejako bogactwem przyrody znajdujących się w niej tworów.

Tam przeto od kilku miesięcy opuściwszy Warszawę, wraz z bratem Władysławem zamiłowanym w naukach przyrodniczych, postanowiliśmy się udać.

Wprzód jednak zamierzyliśmy zwiedzić i nieco poznać państwo Turków i dla tego też zabawiwszy całe prawie 3 tygodnie w Konstantynopolu i przyległych mu okolicach, szybko przez morze Marmora dostaliśmy się do Azji.

Przejeżdżając przez miasto Skutari[1]) inaczéj Chrysopolis zwane (w Azji Mniejszej) i nasyciwszy oko uroczem pomieszaniem drzew, domów i meczetów tego miasta, najęliśmy parę koni, za które na cały dzień płaci się tu 20 piastrów,[2]) zmierzając ku wyniosłej górze zwanej Bulgurlu, aby ztąd jeszcze raz ujrzeć niknącą z oczu Europę. I niezawiedliśmy się w istocie, albowiem stanąwszy u szczytu tej góry, ujrzeliśmy Konstantynopol w oddaleniu jakby mgłą odziany. Podumawszy chwil kilka w tak uroczem miejscu, i podziwiając twory tak bogatej przyrody, puściliśmy się w dalszą drogę, korzystając z każdej sposobności zbogacenia swej wiedzy i pragnąc przywiezienia Europie, choć kilka naukowych pamiątek.

Tak postępując, zebrawszy dużo rzadkich i pięknych roślin i zmieniwszy już po szósty raz konie, przybyliśmy szczęśliwie do granic Persji, zkąd prosto zmierzyliśmy do miasta Teheranu stolicy całej Persji i zimowej rezydencji Szacha, monarchy Perskiego. Szach bowiem, zwykle latem opuszcza stolicę udając się o 3 wiorsty od miasta w góry, gdzie leży wyniosły pałac Tachti-Katszar zwany. Za przykładem monarchy idzie i wiele innych rodzin, co też i myśmy wkrótce uczynili, a wiedząc o słynnych z przymiotów koniach Perskich i narówni z Arabskiemi stawianych;[1]) postanowiliśmy sobie nabyć kilka tych szlachetnych zwierząt i z dwoma młodymi Persami, którzy od kilku dni zaprzyjaźniwszy się z nami, pragnęli w podróżach nam towarzyszyć, w dalszą puściliśmy się drogę.

Po kilkodniowej bez przeszkód i wypadków podróży, przybyliśmy do miasta Kaschan, zkąd zmierzyliśmy znów do miasta Ispahan, (dawnej stolicy Persji) położonego na południe od Teheranu. Znużeni nieustanną podróżą, postanowiliśmy tu dłużej niż dotąd zwykle wypocząć, aby się dostatecznie przygotować do odległej zamierzonej wędrówki.

Równo też ze świtem dnia wyznaczonego opuściliśmy Ispahan, podążając dalej w kierunku Wschodnim.

Pierwszego dnia pochód nasz był dobry po trawie i ścieszkach, wśród wspaniałych i chłodnych lasów. Później jednak upał azjatyckiego klimatu, coraz bardziej zaczął nam dokuczać. Znużeni ciągłą podróżą i trapieni pragnieniem od kilku dni nas dręczącem, ujrzeliśmy przypadkiem jakby na nasze szczęście w samo południe obfite tuż przy obszernym gaju pod niewielką wyniosłością, źródło. Było ono dla nas w tej chwili najpożądańszem odkryciem, jakby oazą wśród głuchej pustyni, i dla tego też spiesznie zsiadłszy z koni i ochłodnąwszy nieco, ugasiliśmy i sami pragnienie i nasze konie.

Orzeźwiwszy się w ten sposób, postanowiliśmy spocząć cokolwiek w chłodzie drzew rozmaitych w około nas stojących, upojeni miłą wonią różnobarwnych kwiatów. Konie zaś, uwolniwszy z siodeł i wędzideł, puściliśmy swobodnie, aby na rozległych pastwiskach głód zarazem zaspokoiły od dawna je trapiący.

Po kilkogodzinnem odpoczynku, przedsięwzieliśmy nie przeszkadzając koniom, udać się w poblizką okolicę na ekskursję t. j. przechadzkę naukową, w celu zebrania nieco rzadkich roślin lub innych tworów natury. W wyprawie tej wszyscy przyjęliśmy udział t. j. ja z bratem i dwaj nasi towarzysze z Teheranu, zostawiając na straży koni i rzeczy dwóch naszych służących i zarazem przewodników.

Zanim jednak wyruszyliśmy w drogę, brat mój doradzał nam, aby nie tracąc czasu potem tak dla nas drogiego, posilić się tem co Pan Bóg dał, dodając, że może nam coś

[1]) Skutari (Chrysopolis, Złotopol, złote miasto, od wyrazów greckich Χρύσεος złoty i πολις miasto,) leży nad cieśniną Konstantynopolitańską tuż naprzeciw Konstantynopola i ztąd uważa się za jego przedmieście.

[2]) Piastr utrecki, jest monetą srebrną mającą przeszło 3 złp. w odróżnieniu od piastra hiszpańskiego znaczącego blizko 8 złp.

[1]) Koń, osieł i wielbłąd, są właściwemi mieszkańcami środkowej Azji. Z koni, nad wszystkie słyną Arabskie; ich piękność, okazałość, lekkość, siła, zwinność i pojętność, czyni je celem szczególnych starań ich właścicieli. Plemiona pasterskie zaludniające stepy Azji wyższéj, także utrzymują wielkie stada koni i używają ich nietylko do jazdy, lecz przytem karmią się ich mlekiem i mięsem. Dzikie konie i osły (jak wielu naturalistów utrzymuje) znajdują się w Tartarji; lecz zdaje się (według innych) że prawdopodobniej dżagataj (kułan) pośredniczący między osłem i koniem a tam dziko mieszkający, jest brany za konia.

Osły bowiem Azjatyckie różnią się od Europejskich, większym wzrostem i piękniejszą powierzchownością. W Persji i Syrji zwierze to nie wiele ustępuje koniom, w piękności i kształtności swych członków, w szlachetności postawy i rączości. Wielbłądy wreszcie, używają się pospolicie w Azji (szczególniéj w Turcji Azjatyckiej, Arabji i Persji) do jazdy i do przenoszenia ciężarów.

potem wypaść, dziki zwierz lub co innego nam przeszkodzić, a wtedy i zjeść nawet nie będzie można a tylko na koń i dalej. Posłuchaliśmy bez oporu rad kochanego Władysława i wychyliwszy po kubku wódki, zagryźliśmy przekąską u każdego podostatkiem w torbie się znajdującą, opatrzyliśmy broń (o której nigdy idąc na ekskursję nie zapomnieliśmy) i gdy już mieliśmy wyruszyć, szczególny wypadek zajął naszą uwagę. Konie nasze albowiem spokojnie się dotąd pasące, usłyszawszy nagle tentent spłoszonych dzikich swych braci, z radością ku nim pobiegły i tak złączone w największym pędzie zdążały ku poblizkiemu lasowi. Zdziwieni tą niespodzianką, z przerażeniem patrzyliśmy na uchodzących nam najwierniejszych towarzyszów podróży, nie mając nadziei już ich kiedy oglądać; wkrótce jednak zauważyłem, że konie nasze a szczególnie mój kasztan z białą nóżką, często zwracał ku nam swe oczy jakby pragnął dać do zrozumienia, że wraz z drugiemi niedługo powrócą, a tylko teraz trochę poigrają z dzikiemi braćmi swemi.

To nas nieco uspokoiło, lecz mimo to postanowiliśmy puścić się w pogoń za niemi.

Pozrzucawszy przeto zaraz zielniki i torby, czemprędzej zawołaliśmy naszych służących, aby wziąwszy ze sobą arkany pobiegli w las za uciekającemi, a sami rozbiegłszy się w różne strony z fuzjami dla większego bezpieczeństwa, także zmierzyliśmy swe kroki ku lasowi. Najpierw ja z jednym z towarzyszów z Teheranu wbiegliśmy do lasu i biegnąc a nawet galopując, ciągle ścigaliśmy okiem pędzących swobodnie przed nami wierzchowców, lecz nagle zatrzymaliśmy się przerażeni okropnym i chrapliwym rykiem jaguara, który zaczajony na drzewie czatował widać na przechodzące zwierzęta, a ujrzawszy stado przebiegających koni, rzucił się gwałtownie na jednego z nich i straszne swe szpony wpoiwszy mu w piersi, powalił na ziemię. Nieszczęsny rumak w największem będąc przerażeniu, z grzywą do góry najeżoną, rzucał się z rozpaczą na wszystkie strony, ale naprόżno, gdyż wkrótce padł w najokropniejszych męczarniach. Zbladłem na ten widok przerażający, gdyż zdawało mi się że to mój luby kasztan uległ tak smutnemu losowi i dlategoteż kilka strzałów puściliśmy za jaguarem, pragnąc choć w ten sposób pomścić się za konia, lecz spłoszony zwierz spiesznie umknął w gęstwinę, z czego my korzystając przybliżyliśmy się zaraz do leżącego na ziemi konia i z radością ujrzeliśmy nie kasztana lecz jednego ze stada zdaje się że dowódzcę, jak można było wnosić z wielkości; kształtów zaś ciała dobrze rozpoznać nie można było, albowiem okropnie przez strasznego zwierza było pokaleczone.

Nie ścigaliśmy jaguara, nie będąc należycie w broń zaopatrzeni i jedynie zajęci myślą odszukania utraconych koni. Udaliśmy się przeto nietracąc czasu w dalszą pogoń i z radością ujrzeliśmy zdala na roskosznej łące pasące się konie. Myśleliśmy z początku że dzikie, lecz przybliżywszy się nieco, poznaliśmy że to były nasze rumaki, z których szczególniej kasztanek zobaczywszy nas, wesoło podniósłszy łeb do góry zarżał radośnie i stanął. Z łatwością też połapaliśmy je, a przyprowadziwszy na pierwotne miejsce spoczynku zaczęliśmy je na nowo siodłać, gwarząc o świeżo wydarzonym przypadku i żałując z jednej strony straty tak pięknego konia, a z drugiej i tego żeśmy nie zgładzili srogiego jaguara. Dosiadłszy koni znów w dalszą, już zmrokiem puściliśmy się drogę i tak jadąc spokojnie przybyliśmy już po południu dnia następnego do Najaw, gdzie przenocowawszy, pojechaliśmy nazajutrz do miasta Jerd, a ztąd przez Tebbes, Terschiz i inne pomniejsze miasteczka, dostaliśmy się do Schirwan (Szyraz), dużego miasta i słynnego przytem ze swych win.

W mieście tem zabawiliśmy dłużej nieco niż w poprzednich, zatrzymani niejedną z historycznych pamiątek; zwiedziliśmy bowiem o kilka mil od miasta leżące rozwaliny Persepolis dawnej stolicy państwa Perskiego, a spalonej przez Aleksandra Wielkiego króla Macedońskiego i wiele innych. Przepędziwszy więc w tych okolicach kilka dni, mamy zamiar przebiedz jeszcze całą Persję, Turkestan i inne kraje, pragnąc zwiedzić głąb Azji a szczególniej dostać się do ciekawych Indji, których opis i wrażenia zebrane ze stron tamtych, przyślemy kiedyś lub sami przywieziemy do Europy.

Przedtem jednak nim to nastąpi, teraz w końcu niniejszego opowiadania, zamierzam wspomnieć kilka słów o jaguarze, jednem zaiste z najstraszniejszych i najdrapieżniejszych dzikich zwierząt.

Przed kilkudziesięciu laty jaguar żył we wszystkich lasach Ameryki, a nawet i w Azji był bardzo pospolity, tak, że corocznie około 2000 skór przywożono do Europy. Z postępem jednak kultury tych części świata, zwierz ten ciągle tak był tępiony, że taraz nadzwyczajnie jest tam rzadkim i tylko w najodleglejszych od zaludnionych stron tamtego świata, zwierz ten przebywa, a głównie zaś w niedostępnych puszczach błotnistych i miejscach trzciną zarosłych. Zdarza się jednak czasami, że jaguar niekiedy wyrusza ze swych kryjówek odwiecznych i szukając sobie zdobyczy, po całej mniej więcej środkowej a głównie zachodniej Azji daje się widzieć, jak tego w Persji mieliśmy przykład; atoli to bardzo rzadko się zdarza, gdyż teraz już prawie zupełnie jaguary wyginęły w Azji i zaledwie gdzieniegdzie w Ameryce się znajdują.

Futro jaguara jest krótkie i miękko-włosiste; sierść brunatno żółta, a pod brzuchem biała; po bokach zaś ciągną się wzdłuż 3 do 6 rzędami czarne, oczkowate plamy. Pierścienie te nigdy nie są całe czyli zamknięte, i wzdłuż po grzbiecie widać szereg wielkich nieregularnych plam, a na odśrodkowej stronie nóg, czarne poprzeczne pokazują się pręgi.

Jaguar jest mniej wysmukły od Lamparta, nogi ma wyższe i cieńsze, żyje zwykle samotnie, podobnie jak wszelkie inne drapieżne zwierzęta. Całe dnie zwykle przesypia, lecz gdy jest głodnym to i w dzień nie puści zdobyczy, czatując na nią około wód i przy brzegach gęsto zarosłych. Jaguar bowiem pływa i łazi po drzewach doskonale. Indjanie polują nań strzałami zatrutemi. Samiec jest bardzo żarłoczny, tak dalece, że samica musi przed nim pilnować i strzedz dzieci, aby je nie pożarł. Młody jaguar daje się niekiedy powoli oswoić. *K. M.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *P. Józefowi z nad Wisły.* Żyjemy teraz w XIX wieku; kara cielesna wszędzie wyrugowaną została z prawodawstwa, są obecnie inne środki na poskromienie złych nałogów w dzieciach — jak szkoła i dobre książki—a najpewniejszy, to dobry przykład rodziców. Powieść więc Pańska i wierszyk, drukowane być nie mogą w Opiekunie Domowym.

— Na list otrzymany od naszego prenumeratora w słowach:

„Raz wracając z wieczornej przechadzki po Warszawie do domu, przestraszony zostałem widokiem kuli ognistej na horyzoncie płonącej; wyznaję, że wziąłem ją za złowieszczą banię straży ogniowej, a była to tylko tarcza wschodzącego księżyca. Udaję się do Szanownej Redakcji z zapytaniem: dla czego księżyc i słońce na krańcu widnokręgu większemi się okazują, aniżeli wysoko na Niebie?

odpowiadamy:

Zdaje się nie jedna wpływa na to przyczyna. Oko przyzwyczajone patrzeć w kierunku bezpośrednio, uważa zbliżone do ziemi księżyc i słońce za ciało ziemskie i mierzy je mimowolnie otaczającemi przedmiotami; nadto dobre warstewki powietrza, są przesycone mgłą a więc gęste (do tego nie równej gęstości) i sprawiają przez to pewien rozkład kolorów (ztąd zaczerwienienie), załamanie promieni słonecznych i pozorne powiększenie, tak samo jak kamień wydaje się większym w wodzie.

— *P. Janowi w Oleju.* Gdyby z imienia przelać olej na utwór i w nim dobrze przesmażyć, może by wyszła rzecz lepsza, a tak . . . .

— *P. Alex. Woj.* Trzy utwory jego rymowane, mogą być każdej chwili odebrane, jako zupełnie dla naszego pisma nieprzydatne.

chanice i innych naukach i na tem to oparciu zyskały właśnie ów świetny rozwój, o którym tegoroczna wystawa Paryzka da nam bezwątpienia nowy, a przekonywający dowód. U nas, gdzie są nieliczne szkoły rzemieślnicze, uczące li tylko prawdziwie elementarnych wiadomości — odczyty naukowe dobrze zastósowane do pojęcia słuchaczów, niewątpliwie wywrą pożądany skutek: otworzą oczy tysiąca pracowników na prawdziwe cuda nauki, zachęcą i rozpłomienieją do gorliwych badań, do stalszej nauki. Spodziewamy się także, że ludzie naukowi nie odmówią swej pomocy w wykładzie danych przedmiotów, a rozwidnione umysły licznych słuchaczów (tak przynajmniej sądzimy),



Napad Jaguara na dzikie konie. (Do str. 71-ej).

ROZMAITOŚCI.

— **Odczyty dla rzemieślników.** Opiekun Domowy już kilkakrotnie odzywał się za potrzebą urządzenia odczytów naukowych, któreby poznajomiły liczną rzeszę czeladzi rzemieślniczej a nawet i majstrów, z rozlicznemi naukami, wpływającemi wielu na rozwój rzemiosła za granicą.

Obecnie z prawdziwą radością wyjmujemy wiadomość ze szpalt *Kurjera Codziennego*, który donosi, że panowie fabrykanci i właściciele znaczniejszych zakładów w Warszawie, powzięli myśl urządzenia takich odczytów dla klassy pracującej. Myśl ta rzeczywiście przynosi zaszczyt zamożnym fabrykantom tutejszym, którzy poznali potrzebę niesienia światła między swych braci biedniejszych. Dziś rzemiosła za granicą opierają się już na fizyce, chemji, mechanice i innych naukach

będą dla nich prawdziwie wielką nagrodą o poniesione trudy.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(Wdrodze z bawarji do kawiarni).

WINCENTY. O czemżeście przed chwilą mówili z Bronisławem po cichu?

WŁADEK. Chciałem od niego z półrubelka pożyczyć...

WINCENTY. Na cóż ci te półrubla?... Wszak tylko co w bawarji wygrałeś odemnie w domino dwa ruble....

WŁADEK. Prawda... w tej chwili mi nie trzeba... mówiłem mu przecież, żeby ze zwyczaju nie wyszło. Dziwiłby się, gdybym go spotkał a niemówił o pieniądze. Myślałby żem nagle pobogacił i gotówby się o dawniejsze upomnieć.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.